

## JERZY ZDRADA

**Andrzej Michał Kobos [AMK]** – *Panie Profesorze, czy był Pan zaangażowany w działalność opozycyjną albo quasi-opozycyjną przed latem 1980 roku?*

**Jerzy Zdrada [JZ]** – To nie była żadna działalność typu strukturalnego. Nie należałem do KOR-u. Moje związki z tym Komitetem polegały na przyjacielskim zaufaniu. Miałem przyjaciół w Warszawie, którzy mieli kontakty z KOR-em. Poprzez nich otrzymywałem biuletyn KOR-u, który kolportowałem wśród kilku bliskich kolegów, a także zbierałem wśród nich niewielkie kwoty na fundusz KOR-u. Wiedziałem o Towarzystwie Kursów Naukowych (TKN), ale też nie byłem w tej grupie. Nie mam karty KOR-owskiej.

**AMK** – *Czy należał Pan do „Klubu Wereszyckiego”?*

**JZ** – Historię kończyłem na Uniwersytecie Jagiellońskim. Henryk Wereszycki był moim profesorem. Klub Wereszyckiego ukształtował się wcześniej – kiedy byłem jeszcze studentem – w dość zamkniętym gronie. Spotykałem się z Profesorem i z niektórymi jego przyjaciółmi, np. z Mieczysławem Pszonem czy Emanuelem Rostworowskim, u niego w domu przy różnych okazjach, na spotkaniach bardziej towarzyskich niż dyskusyjnych, np. z okazji imienin, zwykle w licznym gronie. Zresztą np. z profesorem Rostworowskim kontakty były bardzo częste choćby z racji mojej współpracy z Polskim Słownikiem Biograficznym, którym wtedy kierował. W okresie „Solidarności” profesor Rostworowski należał do naszej organizacji. Mam w pamięci także ważne dla nas spotkanie ze Stanisławem Płoskim – historykiem, działaczem dawnego PPS, przyjacielem Profesora, którego przeprowadził na jedno z seminariów w czasie naszych studiów.

**AMK** – *Pracował Pan w Polskiej Akademii Nauk w Krakowie...*

**JZ** – Pracowałem w Bibliotece Polskiej Akademii Nauk. Moje związki z PAN-em zaczęły się jeszcze na studiach, w 1959 roku. Jeden z pracowników Archiwum PAN [obecnie Archiwum PAN-PAU] wyjechał wtedy na rok do Stanów Zjednoczonych i potrzebowano kogoś, kto zastąpiłby go,

a nie zajmowałby etatu. Zaproponowano mi to miejsce, gdy byłem na piątym roku studiów. Wciągnąłem się w tę pracę, napisałem jedną czy dwie drobne prace. Po ukończeniu studiów zostałem, ale nie w Archiwum, tylko w Bibliotece Polskiej Akademii Nauk. Przeszedłem całą karierę bibliotecarską, od podawania książek aż do kustosza dyplomowanego. Przy tej okazji robiłem swoje prace naukowe – doktorat i habilitację – nie będąc na Uniwersytecie. Miałem stamtąd różne obietnice, ale nic z nich wtedy nie wyszło. Po studiach przez trzy lata (1961–1963) wraz z profesorem Wereszyckim, jako jego asystent, jeździłem do ówczesnej WSP w Katowicach, zaś w latach 1976–1979 byłem (na pół etatu) także docentem w WSP w Kielcach.

**AMK** – *Nadeszło lato 1980. Był Pan jednym z organizatorów wolnych związków zawodowych w Polskiej Akademii Nauk w Krakowie.*

**JZ** – Kiedy w sierpniu 1980 wybuchły strajki w Gdańsku, zrozumiałem, że trzasnęło i trzeba zacząć coś robić. Bez przechwałek – mówiłem kolegom wcześniej, że należy być na coś takiego przygotowanym, niezależnie od tego, jak długo przyjdzie nam na taką chwilę czekać.

Gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych wybrano mnie na przewodniczącego pracowniczej kasy zapomogowo-pożyczkowej PAN-u. W tamtych latach – jak mówiłem trochę żartem, ale coś w tym realnego też było – cztery instytucje integrowały Polską Akademię Nauk w Krakowie: stołówka, związek zawodowy, partia i kasa zapomogowo-pożyczkowa. Ta ostatnia cieszyła się ogromnym powodzeniem, wszyscy bowiem byliśmy biedni. Prowadząc tę kasę przez kilka lat, dzięki odpowiednim lokatom doprowadziłem do tego, że były pieniądze na zapomogi, które przyznawaliśmy. Funkcjonowało to dobrze, co dawało mi pewną satysfakcję. Było to ludziom rzeczywiście potrzebne. Po iluś tam latach znałem wiele osób, wszędzie w krakowskim PAN-ie miałem kontakty i zaufanych kolegów.

Gdy rozpoczęło się w Gdańsku, zacząłem odwiedzać kolegów w różnych instytucjach PAN-u, namawiając tych, którzy cieszyli się autorytetem, by coś robić. Powiem szczerze, że w końcu sierpnia 1980 szło to ciężko. Wszyscy wyczekiwali, czym to się skończy. Kiedy było już wiadomo, że idzie w kierunku podpisania porozumienia, sprawa ruszyła. Na początku września 1980 zostało zorganizowane spotkanie przedstawicieli pracowników w PAN-ie, jeszcze pod auspicjami Związku Nauczycielstwa Polskiego. Na tym zebraniu wystąpiłem i powiedziałem, co uważam, że należy zrobić. Powołaliśmy czteroosobową grupę koordynacyjną, w której się znalazłem. Po kilku dniach, kiedy przyszły z Gdańska informacje, w jaki sposób postępować, zerwaliśmy z ZNP i utworzyliśmy niezależny związek – jeszcze bez nazwy. W tym czasie w środowiskach naukowych były różne koncepcje, próbowano wydzielić ZNP–Nauka. W PAN-ie w Warszawie powstał odrębny związek pracowników nauki. Nasza organizacja NSZZ afiliowała się

przy Komisji Robotniczej Huty w Nowej Hucie; nieco później, kiedy utworzono Region, dostaliśmy nr 4, jako czwarta organizacja niezależnego samorządowego związku na terenie Krakowa – jeszcze bez nazwy „Solidarność”. Od pierwszych chwil miałem doskonałą pomoc w licznym gronie kolegów z rozmaitych placówek, zwłaszcza dr. Krzysztofa Görlicha, hydrogeologa z Instytutu Geologii PAN, późniejszego wiceprezydenta Miasta Krakowa, dr. (obecnie profesora) Jana Środonia, również z tegoż Instytutu, doc. dr. (obecnie profesora i członka PAU) Romana Laskowskiego z Instytutu Języka Polskiego, dr. Teresy Passakas z Zakładu Zoologii Systematycznej.

Niedługo potem był to już NSZZ „Solidarność”. Zapisało się do tego związku około 1450 osób, tj. 96 procent pracowników i emerytów w trzydziestu kilku placówkach PAN w Krakowie – od instytutów przez zakłady i pracownie do biura Oddziału PAN. Wszystko było niezwykle spontaniczne, lecz oparte na naszej Komisji. W grudniu 1980 przeprowadziliśmy formalne wybory do Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” PAN; zostałem wybrany na jej przewodniczącego. Obok dziewięcioosobowej Komisji Zakładowej powołaliśmy tzw. Komisję Miejscową (była to nasza dodatkowa forma organizacji) po to, aby każda z placówek PAN-u w Krakowie była w niej reprezentowana i abyśmy mieli bezpośredni i szybki kontakt ze wszystkimi placówkami. Mogę powiedzieć, że to doświadczenie pierwszego okresu „Solidarności” pokazywało, jak świetnym gronem byli ówczesni pracownicy i emeryci PAN-u.

**AMK** – *Jaką postawę zajął wtedy Zarząd Oddziału Krakowskiego Polskiej Akademii Nauk?*

**JZ** – Przewodniczącym Oddziału PAN w Krakowie był wówczas profesor Jerzy Litwiniszyn. Oczywiście, także zapisał się do „Solidarności”. Zapisali się również dyrektorzy dużych instytutów PAN w Krakowie. Na przykład: z Instytutu Farmakologii członkiem naszej Komisji Zakładowej byli profesorowie Jerzy Vetulani i Roman Rembiesa; z Instytutu Mechaniki Górotworu profesor Andrzej Smolarski, członek PAN; w Komisji Miejskowej był np. profesor Emanuel Rostworowski. Tworzyliśmy znakomitą organizację, co dawało ogromną satysfakcję.

**AMK** – *Co – po tylu latach – tkwi w Pańskiej pamięci jako najbardziej wartościowe z działalności tzw. pierwszej „Solidarności” w krakowskim PAN-ie?*

**JZ** – Pierwszym naszym działaniem było utworzenie struktury „Solidarności” we wszystkich oddziałach PAN-u w całej Polsce. W kilka osób (Krzysztof Görlich, Roman Laskowski, Jerzy Stoch, Jerzy Zdrada) pojechalśmy około 10 września [1980] do PAN-u w Warszawie i skłoniliśmy tamtejszych działaczy, aby odstąpili od tworzenia odrębnego związku, a weszli

do NSZZ „Solidarność”. Razem z Karolem Modzelewskim i Jerzym Milewskim z Instytutu Maszyn Przepływowych PAN w Gdańsku skłoniliśmy środowisko warszawskie do odstąpienia od separatystycznej organizacji i w końcu września 1980 również oni utworzyli organizację „Solidarności”. Pod sam koniec września 1980 zaprosiłem przedstawicieli „Solidarności” ze wszystkich oddziałów PAN-u w Polsce (było ich wtedy pięć) do Krakowa i tutaj stworzyliśmy organizację pod nazwą Ogólnopolska Komisja Porozumiewawcza Polskiej Akademii Nauk (OKP PAN). Wtedy poznałem m.in. Jerzego Buzka, Jacka Merkla, Janusza Riegera, kolegów z Instytutu Podstawowych Problemów Techniki w Warszawie, z Poznania i Warszawy. W ramach OKP PAN współpraca programowa i kontakty organizacyjne były ścisłe i częste. Od samego początku przystąpiliśmy do negocjacji z władzami PAN-u o zmianę struktury Akademii, o wydzielenie korporacji i stworzenie ogólnego centrum instytutowego, czyli o oddzielenie polityki od nauki. Przygotowywaliśmy projekt nowej ustawy o Polskiej Akademii Nauk. To było naszym celem. Te rozmowy ciągnęły się od listopada 1980 przez cały rok 1981. Niestety, centrala PAN-u tak je prowadziła, że do przedstawienia Sejmowi projektu nowej ustawy nie doszło. To było pierwsze nasze działanie – jedno z ważniejszych.

Po drugie, na wiosnę 1981, wspólnie z profesorem Emanuelem Rostworowskim i przy naszym aktywnym udziale organizacyjnym i – nazwijmy to – ideowym, rozpoczęliśmy [„Solidarność” PAN-u] rozmowy i przygotowania do przywrócenia Polskiej Akademii Umiejętności. Były wtedy dwie koncepcje: jedna – profesora Stanisława Grodziskiego – utworzenia odrębnego Towarzystwa Naukowego w Krakowie, a druga – nasza, „Solidarności” – odtworzenia Polskiej Akademii Umiejętności. Jednym z tych, którzy bardzo aktywnie działali na rzecz tej drugiej koncepcji, był profesor Emanuel Rostworowski; to z nim omawiałem sprawy organizacyjne. Odbyło się zebranie – dyskusja – poświęcone przywróceniu Polskiej Akademii Umiejętności. Prowadził je profesor Wojciech Truszkowski, dyrektor Instytutu Podstaw Metalurgii. Sprawa wiele się nie posunęła, idea nie została wtedy zrealizowana, ale to właśnie „Solidarność” rzuciła hasło przywrócenia PAU, a nie tworzenia nowego Towarzystwa. Uważaliśmy, że w Polsce mogą współistnieć dwie akademie naukowe.

Trzecią sprawą, o której warto wspomnieć, była działalność na rzecz krakowskich struktur, środowisk naukowych i nie tylko naukowych. Tak jak powstała Ogólnopolska Komisja Porozumiewawcza Polskiej Akademii Nauk, również w Krakowie, przy naszym inicjującym i aktywnym udziale, utworzona została Krakowska Komisja Porozumiewawcza Nauki (KKPN), obejmująca przedstawicieli „Solidarności” krakowskich instytutów PAN-u, wszystkich krakowskich uczelni i resortowych instytutów naukowych, np. Instytutu Odlewnictwa, Instytutu Obróbki Skrawaniem, Instytutu

Farmakologii, Instytutu Fizyki Jądrowej. O różnych sprawach mówiliśmy w naszej Komisji Porozumiewawczej Nauki razem, jednym głosem.

Dlaczego uważam to za ważne? Te kontakty w całym krakowskim środowisku naukowym i nie tylko naukowym oraz kontakty ogólnopolskie w ramach Polskiej Akademii Nauk sprawdziły się i niezwykle przydały później – w okresie stanu wojennego. To było źródłem i tajemnicą tego, że tak liczne osoby związane z nauką funkcjonowały w strukturach ogólnopolskich „Solidarności”.

**AMK** – *Jak wyglądały kontakty „Solidarności” krakowskiego PAN-u z „Solidarnością” Uniwersytetu Jagiellońskiego?*

**JZ** – „Solidarność” – jak wiadomo – wybuchła w okresie wakacyjnym 1980 – z natury rzeczy nieaktywnym dla szkół wyższych. W PAN-ie, we wrześniu 1980, mogliśmy szybko zorganizować się, ponieważ mieliśmy inny rytm pracy. Koledzy z Uniwersytetu przychodzili do mnie – do budynku PAN-u przy Sławkowskiej 17 – i pytali, co robić. Będąc już wtedy „doświadczonym” związkowcem solidarnościowym, mówiłem im: „Musicie napisać postulaty, co chcecie od rektora i dziekanów, itd.” W pierwszym momencie wywoływało to konsternację: „Jak to? Od naszych mistrzów, profesorów mamy czegoś wymagać?”. Było bowiem na Uniwersytecie pewne poczucie hierarchiczności, które potem jakoś zostało przełamane.

Organizacja „Solidarności” na Uniwersytecie Jagiellońskim powstała pod koniec września 1980. Mieliśmy z nią bardzo intensywne, właściwie najbliższe kontakty. Istniały wówczas struktury łączności i kolportażu, które nazywały się A, B, C według klasyfikacji wielkości i siły oddziaływania danych komisji zakładowych. Polska Akademia Nauk z Uniwersytetem Jagiellońskim tworzyły jakby parę: Uniwersytet był zakładem typu A – tam koncentrowała się łączność i kolportaż, idące z Zarządu Regionu, a z UJ do naszej Komisji Zakładowej, skąd wędrowały do niższych szczebli. Ponadto z racji dobrej bazy poligraficznej mieliśmy bezpośredni związek z Sekcją Informacji Zarządu Regionu, którą kierował Robert Kaczmarek. Naszym atutem były dwie maszyny offsetowe i świetnie działający punkt poligraficzny, w czym była duża zasługa m.in. Jana Środonia. Nasze dwie offsetowe maszyny drukarskie przyjechały do nas dzięki przyjaciołom z Norwegii, w szczególności dzięki „Kice” Szaszkiewiczowej. Pierwszy offset przysłali nam już w jesieni 1980, a nieco później drugi – jeszcze lepszy. Obydwa pracowały dzień i noc.

Zaczęliśmy wydawać „Głos PAN-u”, który redagował Jan Środoń. Jerzy Vetulani miał w nim kącik zatytułowany *Trefniś*. Ja publikowałem teksty bardziej organizacyjne. Pisemko cieszyło się dużą popularnością w Akademii. Drukarnia funkcjonowała u nas do 13 grudnia i świadczyła usługi także dla zarządu Regionu. Tu drukowaliśmy m.in. regionalnego „Gońca

Krakowskiego”, „Krzyż Nowohucki” Adama Macedońskiego, Listę Katyńską oraz rozmaite broszury i książki. Ruch był ogromny. Byliśmy z tego znani.

**AMK** – *Czy w marcu 1981 roku w PAN-ie miał być także zorganizowany strajk okupacyjny?*

**JZ** – Tak. Byliśmy dobrze przygotowani do tego strajku. W gmachu miało stale przebywać kilkadziesiąt osób. Mieliśmy zgromadzoną żywność, umówieni byliśmy ze stołówką, że będzie nas karmić. Wspomnę tu o charakterystycznej scenie: przed strajkiem do bufetu PAN-u przywieziono konserwy. Dziś to brzmi niezrozumiale – wtedy były ogromne trudności z zaopatrzeniem – ustawiła się kolejka ludzi, by wykupić te konserwy. Podszedłem i poprosiłem, że skoro ma być strajk, to może by tych konserw na razie nie sprzedawać, tylko zatrzymać jako rezerwę, bo nie wiadomo, jak się sprawy potoczą. Nikt z kolejki nie zaprotestował. Pokazuje to atmosferę, jaka wówczas panowała.

**AMK** – *Wielu ma wrażenie, że po odwołaniu strajku generalnego załamała się mobilizacja społeczna...*

**JZ** – Do 30 marca 1981 mobilizacja była ogromna. W naszym przypadku ci, którzy mieli przebywać w gmachu PAN-u, przynieśli tu wcześniej wszystko, co było niezbędne do przetrwania takiego strajku. Pamiętam, akurat przywiozłem coś swoim „maluchem” – wtedy jeszcze wjeżdżało się w ul. Sławkowską. Pod Akademią zobaczyłem wysoką, szczupłą postać w furaczerce AK-owskiej, ze starym plecakiem. Był to pan dr Roman Żelewski, który kiedyś pracował w Polskim Słowniku Biograficznym. Wtedy miał już ponad 70 lat. My już nie byliśmy bardzo młodzi, ale dla nas był to starszy pan.

Wieczorem słuchaliśmy radia i oglądaliśmy telewizję. Usłyszeliśmy informację, że podpisano jakieś wstępne porozumienie i odwołano strajk generalny.

Być może odczucia, że coś wtedy pękło, są słuszne, choć skłonny jestem uważać, że to są głównie dużo późniejsze oceny. Wtedy tak nie czułem; byłem osadzony głęboko w organizacji, uważałem natomiast, że jest to tylko chwilowy rozejm. Faktem jest, że wkrótce zaczęły się różnego rodzaju prowokacje ze strony władzy.

**AMK** – *To przecież była próba sił...*

**JZ** – Tak. Później do takiej mobilizacji społecznej jak w marcu już nie doszło. Może jeszcze Biały Marsz po zamachu na papieża Jana Pawła II pokazał taką mobilizację. Organizowane były rozmaite tzw. marsze głodowe, ale aż do jesieni 1981 nie było już tak spektakularnego wydarzenia, aby można było sprawdzić mobilizację społeczną. Wydaje mi się – tu już historyk przemawia przeze mnie – że nie można napięcia, mobilizacji społecz-

nej dowolnie wywoływać czy przesuwać; potrzebny jest moment krytyczny. Kiedy dochodzi do „odpływu”, trudno jest taki nurt odwrócić.

Toteż na wprowadzenie stanu wojennego zareagowaliśmy dość chaotycznie, każdy indywidualnie. Aresztowania w nocy z 12 na 13 grudnia spadły niespodziewanie i dotknęły wielu. Z naszej Komisji tamtej nocy internowano Krzysztofa Görlicha, a 14 grudnia wieczorem ubecy wpadli do lokalu Komisji Zakładowej i zabrali na przesłuchanie Romana Laskowskiego, który akurat był na nocnym dyżurze.

**AMK** – *Jak w Pańskich oczach wyglądało wprowadzenie stanu wojennego?*

**JZ** – Zacznę od wspomnień z kilku wcześniejszych dni. Na tydzień przed stanem wojennym miał przyjechać do mnie mój przyjaciel Norman Davies, lecz okradziono go na dworcu w Warszawie i do Krakowa już nie dojechał. Rozmawialiśmy przez telefon z półtorej godziny, nie przejmując się tym, że rozmowa mogła być nagrywana. Rozmawialiśmy o symptomach zbliżającego się wielkiego przesilenia. Powiedziałem Daviesowi, że w październiku 1981 Jaruzelski przedłużył zasadniczą służbę wojskową o dwa miesiące oraz odwołał jesienny pobór do wojska. Oznaczało to – moim zdaniem – że nie chcą do wojska ludzi „skażonych”, a z drugiej strony nie chcą wypuścić tych, którzy nie byli „skażeni” i których mieli pod kontrolą, a zatem coś szykują. Na to Davies powiedział mi, że coś w połowie grudnia musi się wydarzyć. Ponieważ na 17 grudnia były zapowiedziane manifestacje, obaj byliśmy przekonani, że wtedy nastąpi coś złego.

Kolegom z zarządu Regionu, m.in. Robertowi Kaczmarkowi, wprost powiedziałem o innym symptomie. Kaczmarek odpowiadał wtedy w Zarządzie Regionu za prasę i jej kolportaż, a więc za propagandę. Miał grono studentów, którzy plakutowali po mieście, robili napisy, a w tygodniu poprzedzającym 13 grudnia zostali przymknięci, m.in. Tomek Wyrozumski. Zrobił się ruch, Region protestował do esbecji, wypuszczono ich po kilkunastu bodaj godzinach. W piątek Robert zadzwonił do mnie: „Wygraliśmy, wypuścili ich”. Spontanicznie odpowiedziałem mu: „Szykują miejsce”. „Ależ, co ty opowiadasz, wygraliśmy”. Dla mnie, jako historyka, taki gest, niepotwierdzony politycznie, był podejrzany. Ale też nie spodziewałem się, że 13 grudnia cokolwiek się stanie.

Już od marca 1981 mieliśmy opracowany pewien system alarmowy, umówiony punkt kontaktowy w mieszkaniu jednej z pań z Instytutu Języka Polskiego PAN, w bloku, niedaleko szpitala przy ul. Kronikarza Galla. Wszyscy członkowie Komisji Zakładowej krakowskiego PAN-u wiedzieli, że w razie akcji władz przeciw „Solidarności” mamy się tam natychmiast zebrać.

W sobotę 12 grudnia do godziny dziewiątej wieczorem mieliśmy posiedzenie naszej Komisji Miejscowej. Rozeszliśmy się po dziewiątej – na uli-

cach spokój, prószył śnieg. Mieszkałem wtedy przy ul. Friedleina. Pracowałem do późna przy włączonym telewizorze. W pewnym momencie program się urwał. Po chwili usłyszałem samochody jadące przez wiadukt od Krowodrzy do centrum. Nie przeczuwając, że to wojsko i ZOMO z Toń ruszyło do akcji, poszedłem spać.

**AMK** – *A poranek 13 grudnia?*

**JZ** – O godzinie szóstej rano dzwonek i stukanie do drzwi. Zaspany otworzyłem. Przede mną stał nieznajomy jegomość wyglądający jak z filmu komediowego: brodaty, w „marusarzówce”, w kozuchu, spod którego wychodziły spodnie od piżamy i wielkie buciory – wibramy. Wyraźnie zdenerwowany rzucił do mnie: „Uciekaj pan – stan wojenny – Jaruzelski”. Wysłała moja żona: „Czy pan wie, która godzina, niedziela?”. Wtedy sięgnął do kieszeni i wyciągnął pięciozłotową monetę z wizerunkiem żaglowca „Dar Młodzieży”. A na tym wieczornym posiedzeniu Komisji Miejscowej, kilka godzin wcześniej, pani Joanna Łukaszewska, historyk sztuki, pokazywała mi tę nowo wypuszczoną monetę. Pan w drzwiach to był jej mąż, Andrzej Łukaszewki, artysta malarz, nasz sąsiad z domu naprzeciwko – ona przytomnie dała mu tę monetę jako znak uwiarygodnienia. Natychmiast poszedłem do przyjaciela, u którego mieliśmy umówione schronienie, i rozesłałem wici, tzn. żona i córka poszły zawiadomić innych. Najszybciej zjawili się Roman Laskowski i Jurek Vetulani. Przed południem mieliśmy już posiedzenie Komisji. Nie trzeba było wszystkiego improwizować.

**AMK** – *Pierwsze uderzenie nie poszło na środowisko naukowe.*

**JZ** – Nie poszło, nie tylko zresztą pierwsze. 13 grudnia rano było trochę zabawnych momentów. Roman Laskowski miał wtedy białego fiata 125p, a krążyła legenda, że białymi fiatami jeżdżą esbecy. Telefony nie działały, wysłałem więc Romana i Jurka po Krzysztofa Görlicha i na Wolę Justowską do Janka Środonia. Okazało się, że Görlich został wzięty w nocy. (Jak się potem dowiedzieliśmy, dlatego że w marcu 1981 był naszym łącznikiem z Komisją Robotniczą Hutników. Wtedy najprawdopodobniej wciągnięto go na listę, a późniejszych działaczy już nie). Roman i Jurek pojechali więc po Środonia. To było już około dziewiątej rano. Nieco wcześniej jego żona dostrzegła, że podjechała nysa milicyjna, a z radia już wiedziała o stanie wojennym. Janek natychmiast schował się w piwnicy, za jakimiś rupieciami. Weszli milicjanci i zapytali żonę Janka: „Gdzie jest Środon?” – „Wyszedł do kościoła”. – „To jak wróci, niech się zgłosi na komendę na Batorego”. I odjechali. Gdy ta milicyjna nysa odjeżdżała, to akurat podjechali Laskowski i Vetulani. Weszli do domu i po chwili wyszli ze Środoniem, aby przywieźć go na nasze spotkanie. W tym momencie otworzyło się okno po przeciwnej stronie ulicy i jakaś pani – potem dowiedzieliśmy się, że nauczycielka



– krzyknęła: „Niech żyje Solidarność” i zaraz zamknęła to okno. Stąd poszła plotka, że SB zwinęło Środonia, a my nie dementowaliśmy jej. To dało Środoniowi pewien oddech – zaszył się i natychmiast podjął bardzo energiczną „konspirę” o ogólnokrakowskim charakterze, służącą odtworzeniu struktur regionalnych. Przez pewien czas mieszkał przy ul. Kochanowskiego, u pani Anny Karasiowej, wdowy po rektorze Mieczysławie Karasiu. Te epizody – które opowiadam tu dla ubarwienia – pokazują, że już od przedpołudnia 13 grudnia byliśmy zorganizowani i zaczęliśmy podziemną działalność. W okresie Bożego Narodzenia z internowania w Wiśniczu powrócił do nas Krzysztof Görlich – dosłownie „do nas”, bo akurat u mnie był Roman Laszkowski, kiedy Krzysztof z żoną zapukali do drzwi. Bardzo czynnie zaangażowani byli w podziemną działalność również dr Piotr Tomczyk i dr Jerzy Stoch, obaj z Instytutu Katalizy i Fizykochemii Powierzchni PAN.

**AMK** – *Co wywieziono z budynku PAN-u?*

**JZ** – Po pierwsze, zależało nam na tym, aby wywieźć z PAN-u maszyny drukarskie. Zrobiły to panie z Zakładu Archeologii, który miał nysę. Były tam też całe stosy papieru, grubo ponad 500 ryz. Ten papier natychmiast został rozparcelowany po całym budynku, do różnych szuflad. Potem te rzyzy wynosił w plecaczku dr Roman Soja z pracowni Instytutu Geografii PAN. Na tym papierze wydrukowano następnie sporo krakowskich wydawnictw podziemnych. Jedna maszyna drukarska została oddana „Hutnikowi”, gdzie wpadła razem z Wojciechem Marchewczykiem i przepadła. Na drugiej maszynie do samego końca drukowano „Biuletyn Małopolski”, książki i różne wydawnictwa. Nigdy nie została zdemaskowana, ja nawet nie wiedziałem, gdzie pracowała. Wiedział o niej tylko kolega z AGH, dr Bogdan Niewczas, o którym mówiliśmy „Dyrektor”.

Natychmiast zaczęliśmy kontaktować się z Uniwersytetem Jagiellońskim. Poszedłem do Collegium Novum do sali nr 4 „Solidarności”. Tam spotkałem Tadeusza Piekarza, członka prezydium Zarządu Regionu Małopolska „Solidarności”. Tadeusz był trochę zdezorientowany faktem, że wszystkich – jak wtedy błędnie powtarzano – wzięto, a jego nie. Parafrazując słynne napisy przy Drodze Polskich Saperów pod Monte Cassino, powiedziałem mu: „Nie bądź głupi, nie daj się złapać”. Tadeusza aresztowano zresztą na początku maja 1982, po uroczystościach św. Stanisława. Nie zwinęto ludzi z KRH [Komisji Robotniczej Hutników]: Władysława Hardka, Stanisława Handzlika i Jana Ciesielskiego, na wolności ukrywali się do lutego Mieczysław Gil i Edward Nowak. Z tych szczątków Zarządu Regionu i KRH, w styczniu 1982 roku został utworzony RKW [Regionalny Komitet Wykonawczy] Małopolska.

Pierwszym pismem RKW Małopolska, które zaczęliśmy wydawać, był „Biuletyn Małopolski”. Pierwszą redakcję „Biuletynu” stanowili Roman

Laskowski, Danuta „Dasza” Abrahamowicz (słowacystka) i ja, później dołączali inni, np. Jerzy Brzozowski i pani Aleksandra Orman z redakcji w Państwowym Wydawnictwie Muzycznym. Pierwszy numer, osiem stron, wyszedł błady jak ściana – drukarze nie bardzo poradzili sobie z farbą. Prawie do końca pomagałem w redagowaniu tego pisma, ale to już inna historia.

**AMK** – *W podziemnej „Solidarności” zaczął Pan działać na innym poziomie – Regionu...*

**JZ** – Tak. W PAN-ie udawałem przestraszonego. Po świętach Bożego Narodzenia 1981, kiedy zaczęły kształtować się struktury podziemne, sprawy „Solidarności” w PAN-ie oddałem kolegom, mówiąc, że teraz wszyscy na mnie patrzą. Nie zbierałem pieniędzy na pomoc uwięzionym i internowanym. Demonstracyjnie nie brałem pisemek dawanych mi do czytania, w tym naszego „Biuletynu Małopolskiego”, pospiesznie wtykałem, co było trzeba jako składkę związkową... Poszła fama, że Jurek przestraszył się, co niektórzy dawali mi dość przykro odczuć. To był dla mnie ciężki psychologicznie moment. Później już, gdy wszedłem w robotę w Regionie i na poziomie krajowym, przestało mi na tym zależeć.

**AMK** – *W pewnym momencie zwolniono Pana z pracy w PAN-ie...*

**JZ** – To dopiero po kilku latach. Wszystko nie działo się tak szybko. W RKW zacząłem organizować zebrania, potem stałem się prawą ręką Władysława Hardka, który się ukrywał. Wspólnie z Romanem Laskowskim utworzyliśmy zespół programowy, przez który przewinęła się plejada świetnych kolegów z Krakowa i inny regionów. Wszedłem w struktury TTK [Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność”], jako tzw. „merytoryczny”, a tam znowu spotkałem przyjaciół z PAN-u, m.in. Jerzego Buzka czy Jacka Merkla i Jana Krzysztofa Bieleckiego. Moją i nie tylko moją działalność w tajnych strukturach TTK opisałem bardziej szczegółowo kilka lat temu<sup>1</sup>. W PAN-ie byłem docentem, miałem więc samodzielne stanowisko, nie musiałem być codziennie w Akademii. Być może nawet ówczesne władze Biblioteki PAN wołały, aby było mnie tam mniej – abym, ze względu na moją przeszłość, nie oddziaływał. Dość często dzwoniłem rano do Biblioteki PAN-u, że idę do Biblioteki Jagiellońskiej. Wychodziłem z domu w stronę Jagiellonki, a trafiałem na spotkania w Krakowie lub z przesiadkami jechałem np. do Gdańska, Wrocławia czy Warszawy.

Przez półtora roku dobrze to funkcjonowało, dopóki 18 sierpnia 1983 nie wpadł Hardek. Wtedy przyjęliśmy strukturę RKS Małopolska [Regionalny Komitet „Solidarności”], aby odciąć się od pewnych dawnych rze-

<sup>1</sup> Jerzy Zdrada-„Gerard”, *Ze wspomnień o TTK w latach 1982–1984*, [w:] *W 25. rocznicę utworzenia TTK NSZZ „Solidarność”*, Kancelaria Senatu, Warszawa 2007, s. 96–112.

czy – nie wiedzieliśmy bowiem, co Hardek mógł powiedzieć lub co zostało odkryte. Potem okazało się, że Hardek nic nie powiedział. Chyba nawet nie przyciskali go, bo zależało im, aby oddziaływał na innych członków TKK, by wyszli z podziemia. Zaczął wykonywać pewne ruchy w tym kierunku, co niektórych bardzo oburzyło. Jedno jest pewne: gdyby Hardek cokolwiek im o mnie powiedział, to wpadłbym jeszcze w sierpniu 1983.

Z PAN-u wyrzucono mnie dopiero w lutym 1984 w związku z akcją, którą przeprowadziliśmy, aby wyciągnąć z więzienia Karola Modzelewskiego, który był pracownikiem PAN-u i był związany z Wrocławiem. Pod pretekstem wyjazdów do bibliotek objechałem wtedy kilka środowisk PAN-u, spotykając się z kolegami, których znałem z wcześniejszych struktur. Przygotowywaliśmy akcję złożenia petycji pracowników PAN-u, gwarantujących, że jeżeli Modzelewski wyjdzie z więzienia, to weźmiemy za niego odpowiedzialność. Taka wówczas była furtka prawna. Liczyłem się z tym, że mogą Modzelewskiego nie wypuścić, ale był to dla mnie ważny moment, aby zmobilizować kolegów do obrony innego kolegi, jak wiadomo wybitnego, który wymyślił nazwę „Solidarność”. We Wrocławiu ktoś puścił farbę, że ja organizowałem tę petycję. Wtedy wyrzucono mnie z Polskiej Akademii Nauk i odebrano stanowisko docenta. Nic jednak nie wiadano o mojej działalności w podziemnych strukturach „Solidarności”, regionalnych i krajowych.

**AMK** – *Czyli niedużo wiedzieli...*

**JZ** – W sumie nie wiedzieli dużo. Ale też mieliśmy pewne zabezpieczenia, które, jeżeli dobrze się ich przestrzegało, trochę chroniły. Wszyscy mieliśmy pseudonimy. Ja używałem trzech – i o nich środowiska podziemne nawzajem nie wiedziały. W RKW byłem „Krzysztofem”, w TKK „Gerardem” – nawet już w Sejmie niektórzy do mnie mówili „Gerard”. Dla części miejscowych działaczy krakowskich z okresu RKS-u byłem „Andrzejem”. I ten tylko pseudonim był znany naszemu prezydium RKS-u, do którego należeli Tadeusz Syryjczyk, Barbara Niemiec, Janusz Lupa, a następnie także Stefan Jurczak, z którym od jesieni 1983 jeździłem na posiedzenia TKK i tylko on wiedział, że ja jestem „Gerardem”. Mieliśmy również numery, wpiętych trzycyfrowe, potem czterocyfrowe. Ja np. miałem numer „2000”. Hardek miał numer „2500”, Handzlik – „3200”. Te numery służyły do adresowania poczty, która funkcjonowała wewnątrz podziemnej struktury regionalnej w Krakowie.

**AMK** – *O numerach i poczcie wspominał podczas rozmowy Stanisław Krzyszkowski.*

**JZ** – No właśnie. Podziemną pocztą kierował Stanisław Krzyszkowski, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, wówczas w Instytucie Biologii Mole-

kularnej, w Zakładzie profesora Aleksandra Koja. Zorganizował „skrzynki”, do których wrzucaliśmy pocztę z numerem i ta poczta przechodziła przez kilka rąk – stopni wtajemniczenia. Funkcjonowało to bardzo dobrze i dzięki temu mieliśmy w Krakowie niezłą łączność.

**AMK** – *Narzuca się pytanie, czy ktoś przestudiował konspirację AK-owską na poziomie okręgów czy Komendy Głównej?*

**JZ** – Być może, ale może Polak ma to we krwi, od pokoleń.

**AMK** – *Czy w okresie stanu wojennego miał Pan jakieś kontakty z Tajną Komisją Zakładową „Solidarności” Uniwersytetu Jagiellońskiego?*

**JZ** – Nie wchodziłem w szczegóły, ale miałem pewne kontakty przez Stanisława Krzyszkowskiego. Współpracowałem bliżej z Pawłem Studnickim, Jerzym Perzanowskim, Tomaszem Studnickim. W okresie RKW nie chodziłem do Kurii Arcybiskupiej – uważałem, że nie ma potrzeby, abym się tam pokazywał, natomiast m.in. przez Tomasza Studnickiego przekazywałem pewne dokumenty, które miały iść do Watykanu. Z Pawłem Studnickim miałem bliższy kontakt, bo w RKS-ie zajmował się niektórymi technicznymi sprawami. Barbara Niemiec była w prezydium RKS-u.

Dodam tu ogólnie, że zawsze byłem przeciwnikiem przenikania się struktur tajnych z charytatywnymi. Chociażby dla bezpieczeństwa.

**AMK** – *Podobno później profesor Kazimierz Godłowski poszedł do rektora Gierowskiego prosić o zatrudnienie Pana na Uniwersytecie...*

**JZ** – Od 24 lutego do września 1984 byłem bez pracy. Żonę także zwolniono, zanosilo się na niebezpieczną dla nas materialnie sytuację. Wtedy pomogli mi koledzy ze struktur „Solidarności”. Zorganizował to Tadeusz Syryjczyk – chyba przez trzy miesiące dostawałem sumę, która pozwalała nam na przeżycie. Otrzymałem również pomoc ze strony kolegów, którzy zapraszali mnie na wykłady w różne miejsca, np. w seminarium duchownym oo. salezjanów, gdzie miałem dziesięć godzin wykładów z historii. Ale nie wiadomo było, co będzie dalej, obietnice miałem najrozmaitsze, które jednak się rozwiewały. We wrześniu 1984 zatrudniono mnie w Bibliotece Jagiellońskiej. Rozmawiałem wtedy z rektorem Józefem Andrzejem Gierowskim. Powiedział mi, że to na przeczekanie, że po pewnym czasie przejdę do Instytutu Historii UJ.

**AMK** – *Słyszałem, że czuł się Pan tą posadą w Bibliotece Jagiellońskiej niedowartościowany...*

**JZ** – Usunięcie z PAN-u było represją skierowaną przeciwko mnie, ale także był to rodzaj straszaka dla środowiska. Rozumiano to dobrze, toteż w mojej obronie odezwało się ponad 80 samodzielnych pracowników nauki, w tym

również liczni profesorowie członkowie PAN. I choć nie wpłynęło to bezpośrednio na moją pracę zawodową, to petycja z podpisami miała dla mnie ogromne znaczenie moralne, tym większe, że byli i tacy, którzy demonstracyjnie „przestali mnie widzieć”. W rok po mnie wyrzucono z PAN-u Bronisława Geremka – więcej nikogo innego.

Odpowiadając na to, co Pan słyszał, zapewne od kilku osób... Dla mnie praca bibliotekarska nie była pracą przynoszącą ujmę. Przecież przez lata pracowałem w Bibliotece PAN-u, biblioteka nie była dla mnie straszakiem. Najgorsze dla mnie było to, że utraciłem cały mój warsztat naukowy, który stwarzałem sobie przy ul. Sławkowskiej przez 25 lat. Trzeba było niejako rozpoczynać na nowo, w nowym środowisku. Pracując w Jagiellonce, napisałem kilka publikacji. Być może błędnie, ale w Bibliotece Jagiellońskiej odczuwałem, że patrzono na mnie jak na osobę odgórnie narzuconą. Prawdopodobnie była to komedia pomyłek z obu stron.

W dodatku poważnie zachorowałem. W sierpniu 1984 przeszedłem – nie wiedząc o tym – zawał serca. Czułem się źle, opis incydentu sierpniowego i pewne objawy wskazywały na zawał, ale elektrokardiogram nie wykazał tego. Zdiagnozowano arytmie, lecz leczenie farmakologiczne nie przyniosło widocznej poprawy. Na zaproszenie Krzysztofa Pałowskiego (późniejszego senatora) podjąłem się cyklu wykładów z historii Polski w Klubie Inteligencji Katolickiej w Nowym Sączu i tam, podczas jednego z wykładów, „zaniemówiłem” – objawy wróciły. W Krakowie rozpoznano blok serca. Zaczęło się leczenie. Ponieważ czułem się bardzo źle, a w Jagiellonce atmosfera nie wydawała mi się najlepsza, poprosiłem o urlop dla poratowania zdrowia – do czego miałem pełne prawo – dwa razy po pół roku. Wtedy doszło do mnie, że niektórzy uważają, że unikam pracy w Jagiellonce.

W maju 1988 wszczepiono mi rozrusznik serca. W klinice odpowiedniego aparatu nie było. Dzięki przyjaciółom z zagranicy przysłano mi trzy aparaty: jeden mi wszczepiono, drugiego nikt tu nie umiał uruchomić, więc go odesłano, a trzeci podarowałem klinice.

*AMK – Potem wyjechał Pan do Paryża...*

**JZ** – W RKW i RKS Małopolska byłem odpowiedzialny za kontakty ze związkowcami francuskimi z dwu central: CFTC oraz CFDT, które wspierały „Solidarność”. Po wyrzuceniu mnie z PAN-u dostałem dwie propozycje: od pań Lonny i Anny Glaser z Wiednia dwumiesięcznego stypendium oraz od Jerzego Giedroycia stypendium z Funduszu „Kultury”. Sześciokrotnie odmawiano mi paszportu. Jesienią 1985 miałem już nawet służbowy paszport w rękach, ale odebrano mi go na dwa dni przed odlotem do Paryża. Konsekwentnie odwoływałem się i kolejna próba zakończyła się otrzymaniem paszportu służbowego z UJ, co pozwoliło mi na wyjazd w październiku 1988 do Paryża

na kwerendy historyczne w Bibliotece Polskiej i w archiwum francuskiego MSZ. Miałem także zaproszenie od CFTC i CFDT. Było to już po ogłoszeniu przez nas imiennego składu prezydium RKS Małopolska we wrześniu 1988. W październiku 1988 do Paryża miał jechać Lech Wałęsa. Koledzy z Krajowej Komisji Wykonawczej (następcy TKK) upoważnili mnie do reprezentowania struktur krajowych. Jak wiadomo, zamknięcie Stoczni Gdańskiej przerwało przygotowania do Okrągłego Stołu i Wałęsa nie pojechał wtedy do Francji; przyjechał dopiero w grudniu 1988, po swojej słynnej debacie z Alfredem Miodowiczem z OPZZ, która w Paryżu wywołała ogromne wrażenie, a mnie dała okazję do licznych kontaktów i wyjaśnień. Gdy Wałęsa w końcu przyjechał – z Andrzejem Wielowieyskim i Bronisławem Geremkiem oraz tłumaczką Małgorzatą Balasińską – zostałem dołączony do jego orszaku, wraz z Jerzym Milewskim z biura „Solidarności” w Brukseli, Zdzisławem Najderem (skazany w PRL-u w latach osiemdziesiątych na śmierć), Bohdanem Cywińskim i Piotrem Chruszczyńskim, szefem biura paryskiego „Solidarności”. Tworzyliśmy tło dla Wałęsy, braliśmy udział we wszystkich jego spotkaniach i rozmowach. Francuzi urządzili wszystko pokazowo, co miało wielki wydźwięk medialny i znaczenie polityczne.

Był wtedy problem, czy Jerzy Giedroyc zechce spotkać się z Wałęsą. W tym czasie byli z sobą bardzo skłóceni. Dwukrotnie rozmawiałem z Giedroyciem, prosząc go o to spotkanie – nie tylko zresztą ja z nim o tym rozmawiałem. W drugiej rozmowie ze mną Giedroyc zapowiedział, że przyjdzie na spotkanie do oo. palotynów w Paryżu. Tak się też stało i myślę, że było to ważne zarówno dla Wałęsy, jak i Giedroycia, a wtedy entuzjastycznie przyjęte zostało przez tłumnie zebranych Polaków.

**AMK** – *Giedroyc pozostał jednak krytyczny wobec Wałęsy, ale to inny temat... W Polsce w tym czasie mówiło się już o powtórnej legalizacji „Solidarności”.*

**JZ** – Wczesną jesienią 1988 (przed moim wyjazdem do Paryża, a po ogłoszeniu jawnego prezydium RKS) zaczęliśmy przygotowywać się do ponownego zarejestrowania „Solidarności”. Wtedy z Andrzejem Gaberle z Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego i z innymi kolegami podpisywałem dokumenty wnoszące o rejestrację NSZZ „Solidarność” Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jeździłem do Warszawy na posiedzenie sądu. Nic z tego nie wyszło. Nie zarejestrowali nas wtedy, ale od tego czasu podjęliśmy – na kilka miesięcy przed Okrągłym Stołem – pewne formy jawnej działalności bez oglądania się na oficjalną zgodę.

**AMK** – *Przyszedł rok 1989... Rozmowy Okrągłego Stołu, powtórna rejestracja „Solidarności” w sądzie, w końcu historyczne wybory 4 czerwca 1989...*

**JZ** – W momencie, kiedy 18 grudnia 1988 powstał Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie, znalazłem się w nim. Kilka lat wcześniej przygotowałem nawet jeden z projektów. Gdy doszło do organizowania obrad Okrągłego

go Stołu, przeznaczono mnie do stolika samorządowego. Poznałem wtedy m.in. Jerzego Regulskiego, Marię Gintowt-Jankowicz, Waleriana Pańkę, Michała Kuleszę, Iwo Byczewskiego. Wszyscy oni byli znacznie lepiej ode mnie przygotowani merytorycznie. Do dnia dzisiejszego utrzymuję z wieloma z nich bliskie kontakty.

Po pierwszym posiedzeniu plenarnym Okrągłego Stołu, 6 lutego zaproponowałem, aby Lech Wałęsa objechał najważniejsze regiony „Solidarności”, a jako pierwszy odwiedził Kraków. Propozycja została przyjęta. W Krakowie przygotowaliśmy 9 lutego 1989 spotkania na Uniwersytecie, w „Tygodniku Powszechnym”, z kardynałem Franciszkiem Macharskim, a w Nowej Hucie w kościele w Mistrzejowicach. Tłumne spotkanie w auli Collegium Novum ze środowiskiem naukowym prowadził profesor Andrzej Fuliński na prośbę rektora Aleksandra Koją. Program był tak ułożony, aby Lech Wałęsa w towarzystwie kilkudziesięciu osób miał okazję kilkakrotnego przejścia przez Rynek. Ten pobyt zakończył obiad w klasztorze oo. Kapucynów, w świetnej atmosferze. Z Krakowa Wałęsa pojechał do Bielska-Białej.

**AMK** – *W marcu 1989 został Pan wybrany na przewodniczącego Komisji Zakładowej „Solidarności” Uniwersytetu Jagiellońskiego.*

**JZ** – 18 marca 1989 odbyło się na Uniwersytecie Jagiellońskim zebranie wyborcze „Solidarności”. Zostałem wtedy przewodniczącym nowej Komisji Zakładowej Uniwersytetu Jagiellońskiego (byłem pracownikiem Biblioteki Jagiellońskiej). Wygrałem te wybory dlatego, że kilka osób z tajnych struktur wiedziało, co robiłem w podziemiu, i mnie zarekomendowało. Bezpośrednio po wyborach pojechałem do Warszawy na zebranie grupy negocjatorów Okrągłego Stołu.

Z tego okresu warto wspomnieć o manifestacjach studenckich w lutym 1989 pod Collegium Novum oraz o prowokacjach milicji. Miałem w tym czasie bardzo dobre kontakty z Maciejem Szumowskim, który pracował w oficjalnej telewizji i jako jej pracownik nakręcił dwa filmy dokumentujące owe zajścia lutowe 1989. W tajemnicy dostałem od Szumowskiego kopie tych filmów i przekazałem wraz z własną informacją o sytuacji naszym kolegom, którzy mieli jechać do Magdaleny. Chodziło o pewne zaszachowanie Kiszczaka. Andrzej Fuliński bardzo szybko, niemal od ręki, napisał wtedy memoriał opisujący wydarzenia na Uniwersytecie.

W maju 1989, już w trakcie kampanii wyborczej, doszło do nowych manifestacji w Krakowie. Milicja wyjechała na miasto. Nie łapali ludzi, ale spychali, pałowali – demonstrowali siłę, być może chcieli coś sprowokować. Podjęto próby negocjacji z szefem Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Krakowie Jerzym Grubą, aby ten wycofał milicję, ale te negocjacje do niczego nie prowadziły. Milicja blokowała ul. Dominikańską, a nasi chłopcy mieli barykadę z flagą na skrzyżowaniu placu Wszystkich

Świętych i ul. Grodzkiej, jak na obrazie Delacroix. Nikt nie chciał oddać pola. O godzinie siódmej wieczorem podjąłem się dalszych negocjacji. Po rozmowie ze mną pułkownik MO, który dowodził na ul. Dominikańskiej, porozumiał się z Grubą i ten przysłał po nas samochód. Pojechaliśmy z Tadeuszem Piekarczykiem i Leszkiem Moczulskim do Gruby. Gdy przedstawiłem mu się, spojrział na mnie i wycedził: „A, to pan pisał o wypadkach lutowych”. Moczulski zaczął mu tłumaczyć: „Bo pan Zdrada jest historykiem”... Gruba machnął na niego ręką, gdyż chodziło mu o ten materiał przekazany przeze mnie do Magdaleny. Ale przyjął propozycję, aby każda ze stron – ZOMO i nasi na barykadzie – równocześnie stopniowo się wycofywali. Zomowcy odjechali, nasi przeszli na Rynek.

**AMK** – *W wyborach 4 czerwca 1989 roku był Pan kandydatem „Solidarności” w Krakowie.*

**JZ** – Byłem kandydatem do Sejmu wysuniętym przez Małopolski Komitet Obywatelski. Mój okręg wyborczy obejmował Śródmieście do Alei Trzech Wieszczów, całe Grzegórzki i Prądnik, oraz pasmo 14 gmin pozakrakovskich. Władzom chodziło o zrównoważenie inteligencji gminami wiejskimi. Komitet Obywatelski miał znakomity zespół. Organizacja kampanii wyborczej w 1989, przeprowadzona przez dwa środowiska: Uniwersytet Jagielloński i Polską Akademię Nauk, była wzorowa. Około 800 wolontariuszy prawie codziennie bywało w gminach włączonych w ten okręg wyborczy. Nie licząc wielu spotkań w Krakowie, na UJ, w instytucjach i stowarzyszeniach, kościołach – miałem kilkadziesiąt spotkań w gminach pozakrakovskich, w niektórych miejscowościach byłem dwukrotnie, np. w Krzeszowicach, także z kandydującymi do Senatu Krzysztofem Kozłowskim i Romanem Ciesielskim. Andrzej Gaberle nie kandydował w tych wyborach, ale organizował spotkania, wielką rolę odegrała Teresa Dobrowolska. Dzięki świetnej organizacji i ścisłemu „harmonogramowi” mogliśmy dziennie obsłużyć cztery–pięć zebrań. W wyborach posłami z Krakowa zostali: Józefa Hannelowa z „Tygodnika Powszechnego”, Jan Rokita i ja, a z Nowej Huty Mieczysław Gil i Edward Nowak, natomiast senatorami Krzysztof Kozłowski z „Tygodnika Powszechnego” i rektor Politechniki Krakowskiej, profesor Roman Ciesielski.

Wynik wyborów krakowskich – najlepszy w Polsce – to było wielkie wydarzenie. Trudno zapomnieć atmosferę, jaka towarzyszyła nam w całej kampanii i w dniu wyborów. Nazywam je – może trochę na wyrost – wygranym powstaniem nie za pomocą kosa, a kartki wyborczej. Taki to miało efekt polityczny.



**AMK** – *Wygrał Pan wybory ogromną większością (87 procent)<sup>2</sup> i był Pan w tzw. sejmie kontraktowym. Jeszcze w 1989 roku – umownej granicy czasowej tych rozmów – zdarzyły się co najmniej trzy znamienne sprawy: wybór Jaruzelskiego na prezydenta RP – jednym głosem...*

**JZ** – Dla mnie pozostaje to jakimś szamańskim chwytem, bo inaczej tego nazwać nie mogę. Większość z nas głosowała przeciwko Jaruzelskiemu. Formalnie w Sejmie mieliśmy 161 głosów plus 99 w Senacie. Wiadomo było, że „pezetpeeria” będzie za nim głosować, SD i ZSL także, choć wtedy zaczęli się już łamać. Sądząc według składu sejmu kontraktowego, Jaruzelski powinien był wygrać poważną większością głosów. Podobno padło za nim 11 głosów „solidarnościowych” z OKP. Ale to by mu i tak nie dało wygranej, gdyby nie koledzy z ZChN-u, którzy nie wzięli udziału w głosowaniu – stwierdzili bowiem, że w wyborach Jaruzelskiego nie będą uczestniczyć. Tak się stało, a to zaniżyło liczbę głosów, względem której obliczało się wynik. Gdyby głosowali przeciw albo bodaj się wstrzymali, mielibyśmy wyborczą klęskę Jaruzelskiego. Wynik był, sądzę, w końcu przypadkowy – tego tak nie dałoby się obgadać. Pamiętam nasze zdumienie...

Był jeszcze inny tego aspekt: wybór Jaruzelskiego wywołał ogromne poruszenie naszych wyborców. Taki drobny szczegół: wtedy ludzie mieli teczki na prasę w kioskach „Ruchu”. Miałem taką teczkę w kiosku na rogu ulic Loretańskiej i Studenckiej (wówczas jeszcze Świerczewskiego). Po wyborze Jaruzelskiego przyszedłem jak zwykle po „Gazetę Wyborczą”, ale pani w kiosku rzuciła mi tylko: „Ni ma” i popatrzyła na mnie wrogo. Zrozumiałem w czym rzecz... Kiedyś w tramwaju nagadały mi dwie panie: „Co wyście zrobili? Jak mogliście tego Jaruzelskiego wybrać?”. Dopiero gdy Tadeusz Mazowiecki został premierem, wróciła teczka z gazetami i uśmiechy ludzi.

**AMK** – *Może nie będziemy tutaj rozmawiać szczegółowo o rządzie Tadeusza Mazowieckiego, choć to druga z tych historycznych spraw. Zapytam tylko, czy wtedy – gdy ten rząd został powołany – uwierzyliście, że to jest prawdziwy koniec komunizmu w Polsce?*

**JZ** – Gdy Mazowiecki został premierem, wiedzieliśmy, że to już jest nieodwołalne. Zwłaszcza że w tym samym czasie dzieliły się i rozlatywały i PZPR, i ZSL, i SD. Potem przyszedł plan Balcerowicza, ogłoszony w początkach października 1989. Wtedy miałem wyjechać na zaproszenie kół polonijnych do Szwecji i Danii. Odwlekałem nieco wyjazd, aby wyjechać już z tezami Balcerowicza. Byłem najgłębiej przekonany, że to była najlepsza rzecz, jaką można było w Polsce wprowadzić. Pracowałem wtedy w trzech komisjach

---

<sup>2</sup> *Wybory '89 w Krakowie*, pod red. Tomasza Gąsowskiego, Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, Kraków 1999.

sejmowych: Edukacji Narodowej – bo to był obszar moich zainteresowań, Konstytucyjnej – „oczyszczającej” ówczesną Konstytucję z całego balastu „nadrzędnej roli partii”, „demokracji ludowej”, nazw, symboli itp., i w tzw. Komisji Zawiaślaka, która przygotowywała kilkanaście ustaw po to, aby 1 stycznia 1990 dostosować Polskę do wymagań Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Pracowaliśmy w pośpiechu, ale widziałem, w jak dobrym kierunku zaczyna to iść.

Pracowaliśmy w tej Komisji Zawiaślaka do Wigilii 1989. Przed świętami wybuchła rewolucja w Rumunii. Oglądaliśmy te wydarzenia w Sejmie na wielkich sowieckich telewizorach marki Rubin. Widziałem, jakie to wywierało wrażenie na posłach z PZPR-u. Po prostu byli zamurovani; myślę, że zrozumieli, czego uniknęli. Wtedy ostatecznie pękli – współpracowali z nami bardzo lojalnie. Natomiast to, co działo się w esbecji, to jest zupełnie inna sprawa.

*AMK – To była trzecia znamienita sprawa, o którą chciałem Pana zapytać: owa „współpracująca” postawa w Sejmie posłów PZPR z blokiem solidarnościowym. Już Pan na to odpowiedział.*

*Ale wróćę nieco w czasie. Użył Pan analogii do powstania – nie kosą... Od kiedy było mniej więcej jasne, że „oni” nie użyją siły?*

**JZ** – Myślę, że od strajku w Nowej Hucie z końcem kwietnia/początkiem maja 1988. Ten strajk został co prawda spacyfikowany, ale nikogo ważniejszego nie przytknięto. Udałem się wtedy na spotkanie z ks. kardynałem Franciszkiem Macharskim. Powiedział mi, że był u niego Stanisław Ciosek. Wtedy zauważyłem pytając, że wobec tego chcą rozmawiać w sprawie Huty. Kardynał nic na to nie odpowiedział ani nie zaprzeczył. Zrozumiałem jednak, że „oni” o coś zabiegają. To był dla mnie pierwszy sygnał.

W kilka miesięcy później przyszła zapowiedź rozmów Okrągłego Stołu. Był też sygnał związany z moją osobistą sytuacją. Nie tylko, że dostałem paszport na wyjazd do Francji (o czym tu już wspomniałem), ale we wrześniu 1988 na zjeździe Polskiego Towarzystwa Historycznego koledzy uchwalili rezolucję, aby przywrócić mi docenturę w PAN-ie. Wkrótce potem przyszło na Uniwersytet Jagielloński zapytanie z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, dlaczego Zdrada nie ma docentury (jakby to była wina Uniwersytetu!). Czyli gdzieś na liniach partyjnych nie chciano zadrażnienia. Po telewizyjnej debacie Lecha Wałęsy z Alfredem Miodowiczem, 30 listopada 1988, wiedziałem, że „oni” są na straconych pozycjach, że muszą coś zrobić. Wałęsa zaraz potem pojechał do Francji, gdzie przyjmowany był dosłownie jak prezydent Polski. Mówiłem już tu o tym.

W styczniu 1989 odbyło się posiedzenie Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarności” w Gdańsku. Przyjęliśmy na nim uchwałę, że zgadzamy się

na rozmowy z władzą. Janusz Onyszkiewicz, który był naszym rzecznikiem prasowym, wyszedł do dziennikarzy. Mniej niż w godzinę później Polskie Radio podało, że jest porozumienie z „Solidarnością” i będą rozmowy. Było jasne, że oni mieli wtedy nóż na gardle – może sytuacja gospodarcza aż tak się sypała, że lepiej dla nich było pójść właśnie w tę stronę.

Gdy zaczęły się rozmowy Okrągłego Stołu, obawialiśmy się już bezpośredniego użycia siły. Demonstracje siły przez milicję w Krakowie odbieraliśmy jako frakcyjne próby. Naturalnie, nie wiedzieliśmy, jak dalece odpuszczą, godząc się na nasze żądania. Były momenty podczas obrad „stolika” samorządowego, grożące całkowitym zerwaniem rozmów; pewnego razu, kiedy już wydawało się, że rozejdziemy się z niczym, „partyjno-rządowi” po kilku godzinach otrzymali polecenie przyjęcia naszego stanowiska. Potem przyszły wybory, druzgocąco przegrane przez PZPR i „sojuszników”. Do końca jednak nie wiedzieliśmy, czy się z tym pogodzą.

Opowiem Panu o niewinnym zajściu, które bardzo dobrze charakteryzuje nasze nastroje. W nocy z 4 na 5 czerwca 1989 – kiedy wszyscy zjeżdżali się do naszego biura na ostatnim piętrze budynku uniwersyteckiego na rogu ulic Manifestu Lipcowego i Czapskich i składali meldunki o wspianych dla nas wynikach wyborów: 87 procent w Krakowie, 95 procent w gminach podmiejskich – nad ranem usłyszeliśmy straszny furkot na ul. Manifestu Lipcowego. W tym ogromnym napięciu i ekscytacji pierwszym odruchem była myśl: „Jadą!”. Wskoczyliśmy na balkon i parsknęliśmy śmiechem. To na miasto wyjeżdżały śmieciarki – stare gruchoty.

Dalej: mówi się, że – kiedy padła „lista krajowa” – ulegliśmy, zgadzając się na nowych kandydatów, zmianę zasad wyborów. To był kompromis, ale *per saldo* okazał się korzystny także dla naszej strony.

**AMK** – *Profesor Andrzej Zoll powiedział mi kiedyś, że była to decyzja Lecha Wałęsy, który uznał, że gdyby „Solidarność” wzięła wówczas te mandaty, to dla komunistów mógłby to być pretekst do unieważnienia wyborów.*

**JZ** – Tak. To mógł być pretekst do unieważnienia wyborów. Ja też rozmawiałem o tym z Zollem. Zgadzam się z tamtą decyzją Wałęsy. To politycznie również był majstersztyk: być może w niektórych „tamtych” („onych”) głowach marzyło się zerwanie porozumienia – w końcu mieli jeszcze MO, ZOMO i wojsko, mieli struktury państwa, choć może one by się i tak rozpadły, bo u nich był już podział, nie wszystkiego byli pewni. Taki szczegół: w zamkniętych okręgach wojskowych oddano na mnie ponad 80 procent głosów. Toteż „co by było gdyby” – to są pytania nie do rozstrzygnięcia w innej niż tamta sytuacji.

Wybory 4 czerwca miały znaczenie plebiscytowe. Pokazały ogromny brak poparcia dla PZPR. Z drugiej strony, my też nie uzyskaliśmy aż tak dużo: sześćdziesiąt kilka procent frekwencji w skali całego kraju – w pierwszych w miarę demokratycznych wyborach to wcale nie był rewelacyjny wynik. Ale z tych sześćdziesięciu kilku procent wyborców ponad 3/4 głosowało na nas.

**AMK** – *Jak z dzisiejszej perspektywy czasu i doświadczeń patrzy Pan na tamten okres?*

**JZ** – Patrzę na to wszystko bardzo pozytywnie. Nie oceniam tamtego okresu poprzez pryzmat mojej doli czy niedoli. Angażując się w ten ruch w 1980, nie spodziewałem się, że to się tak skończy. W 1981 zakładałem jedną – dwuletnią – kadencję związkowca i powrót do książek...

Historia wymyśliła, że z tego nurtu nie wyszedłem tak szybko. Siłą rzeczy w poważnym stopniu ograniczyłem moją pracę naukową. Tych dwóch dziedzin, „konspiracy”, a później służby publicznej, nie dało się pogodzić z intensywniejszą pracą naukową. W Sejmie, a potem jeszcze bardziej w Ministerstwie Edukacji Narodowej, gdzie w latach 1997–2001 byłem wiceministrem odpowiedzialnym za szkolnictwo wyższe, pracowało się non stop.

W 2001 zerwałem z czynną aktywnością polityczną i wróciłem do nauki, co dla wielu wydawało się niemożliwe do zrealizowania. Mnie to się udało. Napisałem akademicki podręcznik *Historia Polski 1795–1914* i szereg innych prac. Wciągnąłem się na nowo w sprawy czysto warsztatowe i to jest teraz mój świat. Ale owych 20 lat – kiedy moja aktywność naukowa była na poziomie co najwyżej 30 procent – nie uważam za stracone dla mnie jako historyka. Przeszedłem przez jawne i podziemne struktury, a zawsze zajmowałem się okresem powstań, konspiracjami... Teraz wiem, jak bardzo niesprawiedliwie można oceniać bohaterów z przeszłości, nie znając mechanizmów oraz trudności działania i komunikacji w konspiracji. Poznawałem ludzi, uczyłem się, jak należy rozmawiać, argumentować, jak formułować dokumenty, rozumieć mechanizm podejmowania decyzji, odpowiedzialność, obawy, lęki.

Mimo wszystko – było, nie było – wygraliśmy. Zmienił się zupełnie ustrój i kraj. A straty? Dawniej ponosiliśmy większe straty, a nie osiągnęliśmy nic albo co najwyżej wielokrotnie mniej. Ale nie heroizowałbym tego czasu: po prostu była „robota” i trzeba było ją zrobić.